



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Skąd wiemy, kto jest ważny (w literaturze najnowszej)

Author: Krzysztof Uniłowski

Citation style: Uniłowski Krzysztof. (2003). Skąd wiemy, kto jest ważny (w literaturze najnowszej). "Pogranicza" (nr 5 (2003), s. 9-19).

© Korzystanie z tego materiału jest możliwe zgodnie z właściwymi przepisami o dozwolonym użytku lub o innych wyjątkach przewidzianych w przepisach prawa, a korzystanie w szerszym zakresie wymaga uzyskania zgody uprawnionego.



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Skąd wiemy, kto jest ważny (w literaturze najnowszej)?

Najbardziej prestiżowe z prestiżowych czasopismo literaturoznawcze, dwumiesięcznik „Teksty Drugie”, debiutantom lat dziewięćdziesiątych poświęciło numer 5. z roku 1996. Z perspektywy data wydania zeszytu zdaje się znacząca. Właśnie na rok 1996 datuje się przesilenie w życiu literackim ostatniej dekady XX wieku. Połowa lat dziewięćdziesiątych to apogeum koniunktury dla młodych. Niebawem miał jednak nastąpić gwałtowny zwrot, uwaga krytyków oraz mediów towarzyszących literaturze z powrotem skupiła się na nowych dokonaniach niekwestionowanych wielkości, żyjących klasyków dwudziestowiecznej literatury (szczególnie poezji)¹. Środowiska i czasopisma młodoliterackie straciły impet, a niektóre po prostu zamilkły. Z racji „zamknięcia listy obecności” (rozmyślnie odkurzam stary frazes) w szczególnie trudnej sytuacji znalazły się nowe tytuły i nowi autorzy, z reguły kojarzeni z tzw. rocznikami siedemdziesiątymi, a zamknięci w młodoliterackim getcie, z którego – jak się okazało – u schyłku lat dziewięćdziesiątych dużo trudniej było się wydostać aniżeli w roku, dajmy na to, 1993. A środowiskom, które w życie literackie wchodziły w cieniu legendy starszych braci, sukces (i to szybki) wydawał się potrzebny jak powietrze. Z perspektywy najmłodszych kariera, jaka stała się udziałem debiutantów początku dekady, mogła, istotnie, zdawać się wręcz niebotyczna, skoro im samym odmówiono podobnej szansy. Ale również wielu niedawnych bohaterów „bruLionu” czy „Nowego Nurtu” ocknęło się nagle gdzieś na dalekich obrzeżach sceny literackiej. Ostali się tylko ci, co jeszcze przed fatalnym 1996 rokiem zdążyli zyskać pewną renomę i umieli sobie poradzić również wtedy, gdy przymiotniki „młody” oraz „młoda” przestały dawać *handicap*, a wręcz przeciwnie – okazały się sporym obciążeniem. W getcie zamknięta została cała młoda (młoda funkcjonalnie) poezja, światek wielce ekskluzywny, ale za to pozbawiony możliwości oddziaływania poza własnym sferą, a przeto łatwy do zlekceważenia. Powstał autystyczny obieg komunikacyjny: tomiki, czasopisma, wydawnictwa towarzyszące imprezom poetyckim rozprowadzane bywają przez samych zainteresowanych wśród przyjaciół i sympatyków, autorzy zaś omawiają siebie nawzajem, występując na przemian w roli poety i krytyka. Oczywiście, młoda poezja niemal zawsze funkcjonowała w ramach niszy. Można by mówić również o pewnych analogiach między dzisiejszą sytuacją a sposobem funkcjonowania kultury studenckiej lat (zwłaszcza) siedemdziesiątych, inicjatywami alterna-

¹ Owo przesilenie było wielokrotnie sygnalizowane i opisywane przez krytykę. Zob. np. P. Śliwiński: *Gorzej czy normalnie?* „Kresy” 1999, nr 4; D. Nowacki: *Dwie normalności. O literaturze i życiu literackim lat dziewięćdziesiątych*. „FA-art” 2001, nr 1-2.

tywnymi, sceną niezależną w przemyśle kinowym czy muzycznym itd. Analogie analogiami, ale też nad naszym życiem poetyckim ciąży przymus narzuconych reguł. W tym wypadku osobność nie wzięła się z wyboru. Dlatego dużo lepiej pasuje tu słowo *getto*, a nie *nisza*.

Poezja dzisiaj może być albo młoda, albo akademijna. *Tertium non datur*. Akademijna (nie akademicka!) to taka, o której najczęściej przypominamy sobie w związku z jakąś rocznicą, nagrodą, wydarzeniem. Poezja akademijna służy celebrowaniu doniosłości literatury, poświadcza naszą polskość i europejskość. Ta poezja nas uwrażliwia i ubogaca [sic!], stawia trudne i najważniejsze pytania, diagnozuje współczesność i zazwyczaj bywa metafizyczna. Zasadniczo wyczerpuje się w rytuałach społecznej komunikacji, mających dowodzić, że kultura wysoka mimo wszystko odgrywa ważną rolę w życiu Polaków, że zachowała doniosłość, a jej etos oraz humanistyczne ideały stanowią kluczową część powszechnie akceptowanego systemu wartości. A poza tym jest przedmiotem badań grupki literaturoznawców-egzegetów i bardzo łakomym kąskiem w ramach polonistycznych rozgrywek o władzę i prestiż środowiskowy.

Poezją młodą pozostaje wszystko to, co z akademijną wchodzi lub mogłoby wchodzić w kolizję. Dlatego Bohdan Zadura najprawdopodobniej pozostanie funkcjonalnie młodym poetą do końca swych dni i nic nie pomoże edycja jego dzieł zebranych, nawet z aparatem krytycznym (najpewniej w ramach przyszłej serii Biblioteka Klasyki Portu Legnica). Po prostu *forever young*... Owszem, nie iżby *tertium* jednak *datur*, ale znajdziemy dwa wyjątki, choć na pewno nie jest przypadkiem, że dotyczą one najgłośniejszych przedstawicieli „bruLionowej” poezji, a więc Jacka Podsiadły, namaszczonego laurem przez samego Noblistę i ogłoszonego poetą metafizycznym przez „Tygodnik Powszechny”, oraz Marcina Świetlickiego, wprowadzie cokolwiek nieprzewidywalnego i romansującego z popkulturą ironisty, ale przecież na tyle popularnego, że trzeba się z nim liczyć.

Nie ma wszakże tego złego... Zostawiona sobie samej, zamknięta w rezerwacie, poezja mogła wypracować i rzeczywiście wypracowała wcale sensowną hierarchię zjawisk artystycznych. No i się okazało, że tym najważniejszym debiutantem dekad nie był żaden z „bruLionowców”, lecz Andrzej Sosnowski. A że mało kto o tym wie... Cóż, coś za coś. Jeśli chodzi o prozaików, to z rynkowo-medialnej rzezi ocalało wprowadzie dużo więcej nazwisk, mało tego – nawet w ostatnich, chudych latach przybywały nazwiska nowe, ale wszystko to przy daleko idących ustępstwach. Gdyby porównać, czyje zyski, a czyje straty były większe, to rachunek niekoniecznie okazałby się taki, jak w pierwszej chwili skłonni bylibyśmy przyjąć...

Cezura roku 1996, choć prowizorycznie, to wcale nieźle jest już opisana. Słusznie podniesiono przy tej okazji, że koniunktura dla młodej literatury z początku oraz połowy lat dziewięćdziesiątych nie wynikała w żaden sposób z rzeczywistej rangi debiutanckich propozycji. Warunkowały ją raczej okoliczności zewnętrzne, także ideologiczne (nowa literatura dla nowej Polski!), zaś wielu ówczesnych młodych chętnie przystało na podsuniętą rolę...

Poddana presji mediów literatura mogła jedynie potwierdzać stereotypy, bo też tego w niej szukano i tego od niej żądano. Niepisana umowa określiła również rolę oraz funkcje sztuki słowa. Zgodziliśmy się, że literatura, wartościowa literatura, to taka, która potrafi sobie radzić na rynku, pielęgnuje naszą tożsamość i uwrażliwia nas na rozmaite aspekty ludzkiej egzystencji. Specyfika sytuacji polegała na tym, że tendencje retardacyjne zyskały praktycznie monopolistyczną pozycję w życiu literackim.

Jeśli po wspomniany na wstępie numer „Tekstów Drugich” sięgniemy, mając w świeżej pamięci wszystko, co wydarzało się później, to okaże się, że najszybciej uleciał... Nie, nie chodzi wcale o to, czy tamto nazwisko. Wśród bohaterów szkiców zamieszczonych w czasopiśmie niewiele takich, o których zdążyliśmy zapomnieć. Prawda, że kolejne książki Nataszy Goerke były przyjmowane z coraz mniejszym zainteresowaniem, że Izabela Filipiak usunęła nieco się na bok, że Piotr Czakański-Sporek odszedł od literatury, zaś w wygłupach Jana Sobczaka z pamiętnego tomu *Powieść i inne opowiadania* chyba nie należało dopatrywać się przykładu metaliterackiego wyrafinowania... Nie chodzi jednak o pochoptność ani – drobne w gruncie rzeczy – omyłki ekspertów. Raczej o ich optymizm, niekiedy nawet entuzjazm. Po roku 1996 było już dużo trudniej patrzeć na młodą literaturę przez różowe okulary...

Młodoliteracki numer „Tekstów Drugich” oraz wydana niemal równolegle książka Jarosława Klejnockiego i Jerzego Sosnowskiego, popularny zarys monograficzny *Chwilowe zawieszenie broni*, zamykają pewien okres w dziejach domniemanego pokolenia „bruLionu”. Ustabilizowała się wewnętrzna hierarchia, wyłoniono grupkę liderów, krytyka towarzysząca dorobiła się kategorii opisowych oraz taksonomicznych, a wreszcie – wzięto szturmem ostatnią twierdzę, jaka została do zdobycia: młodych zaakceptowali, zaczęli o nich mówić i pisać akademicy literaturoznawcy. Na okładce „Tekstów Drugich” wybito wersalikami tytuł „Młodzi na pomnik” i – przynajmniej – brzmi to nieco ironicznie. Zdaje się, że trudno powstrzymać protekcyjny uśmiech, patrząc na niedawnych debutantów z akademickich wyżyn. Wszystko to łączy się jednak z niekłamanyim zainteresowaniem, życzliwością. Będziemy bliżej prawdy, mówiąc, że zamieszczone w czasopiśmie publikacje raczej nadmiernie i przedwcześnie nobilitowały młodych, aniżeli wytykając im, iż zgrzeszyły przesadną ostrożnością.

O młodej literaturze pisali, owszem, akademicy i do tego niekoniecznie sami tylko młodzi, za to bez wyjątku tacy, którym nie były obce zatrudnienia krytyczne. Wydaje się to zrozumiałe: na literaturoznawcze salony wprowadzali młodych pisarzy ci, którzy w roli krytyków towarzyszyli im na co dzień lub bodaj z pewnego oddalenia zerkali w ich stronę. Dla nikogo jednak z piszących nie był to przelotny romans z przedmiotem egzotycznym, wcześniej nieznanym. Wszelako rola literaturoznawcy zobowiązuje. Nie było oczywiście tak, iżby autorzy szkiców nagle zaprzeczyli sobie-krytykom, wymowne jednak, iż przy tej okazji powstało niewiele przedsięwzięć o charakterze interpretacyjnym. W zasadzie jeden tylko

tekst Lidii Burskiej o Andrzeju Stasiuku... Przeważały próby wpisania młodej literatury w porządek historyczny, były nadto taksonomie i klasyfikacje. Ci najbardziej związani z młodą literaturą wiedzieli, że jej interes jest również ich interesem. Nobilitacja, jaka spotykała twórczość Świetlickiego, Stasiuka, Gretkowskiej, Goerke, stwarzała okazję, by samemu wystąpić jako specjalista w zakresie ciekawego i cieszącego się coraz większym uznaniem pisarstwa. Specjalista, a w przyszłości – kto wie – może nawet polonistyczny autorytet z prawem wyłączności do swojego przedmiotu... Szczególnie pociągające okazywało się to, co w młodej literaturze korespondowało z literaturoznawczą modą, dlatego dużo, bardzo dużo rozprawiano o pisarstwie kobiecym (ale również o męskim!) czy postmodernizmie. I chyba tylko jedna Anna Nasiłowska dostrzegła niewspółmierność między publicznym wizerunkiem młodej poezji (i jej autodeklaracjami) a tym, co badaczka znalazła w wierszach². Pozostałe wypowiedzi obieguowe wyobrażenia albo potwierdzały, albo dopełniały, proponując ujęcia, które z nimi nie kolidowały.

Występujący w podwójnej roli krytyków i historyków literatury autorzy zdawali się szczególnie uprawnieni, by pośredniczyć między obiegiem literackim a literaturoznawczym. Są to przecież różne obszary, każdy z nich dysponuje osobnymi instytucjami, każdy kreuje odrębną hierarchię. Wydawałoby się zatem, że to właśnie autorzy związani z uniwersytetem powinni przekazać kolegom z uczelni taki obraz młodej literatury, jaki wypracowała krytyka towarzysząca. On z kolei powinien być punktem wyjścia dla akademickiej refleksji...

Wydawałoby się więc, że tym razem ów idealny schemat sprawdził i potwierdził się znakomicie. Może z upływem czasu na poezję i prozę poprzedniej dekady spojrzeliśmy bardziej krytycznie, zawężiliśmy również grono autorów, którzy otrzymali przepustki do naszej pamięci, nie doszło wszakże do jakiegoś zerwania, odrzucenia wypracowanych wcześniej hierarchii. A jednak upierałbym się, że wpływ krytyki na akademickie literaturoznawstwo jest w istocie prawie żaden i niczego nie zmienia fakt, że krytykami bywają z reguły pracownicy uniwersytetu (doktoranci) lub – jeśli kto woli – że niektórzy akademicy po godzinach chętnie bawią się w krytyków i że czasem pojawia się sposobność, aby również w przestrzeni akademii powiedzieć co nieco o tych samych książkach i pisarzach, o których nieraz rozprawiało się w prasie literackiej.

W roku 2001 ukazał się tom gromadzący rozprawki o prozie lat dziewięćdziesiątych, które młodzi poloniści napisali pod opieką Stanisława Jaworskiego³. Książka nosi tytuł *Światy nowej prozy*, zaś jej bohaterami okazali się Olga Tokarczuk (jej twórczości poświęcone zostały w całości dwa artykuły a częściowo dwa inne), Andrzej Stasiuk (dwa osobne szkice) oraz Manuela Gretkowska (jeden). Epizo-

² A. Nasiłowska: *Kto się boi dzikich?* „Teksty Drugie” 1996, nr 5, s. 53: „mam wrażenie, że ujawniając całkiem pokażne wpływy nowofalowe, odkrywam Amerykę, która powinna dawno już być odkryta”.

³ *Światy nowej prozy*. Pod red. S. Jaworskiego. Kraków 2001.

dycznie pojawiają się nadto w książce Krzysztof Varga oraz Izabela Filipiak. Taki wybór i taka hierarchia znakomicie odpowiada temu, co w kwestii najdonioślejszych debiutów dekady uartało się na giełdzie opinii publicznej. Wybór ten zgadza się również z zestawem nazwisk uprzywilejowanych przez autorów młodoliterackiego numeru „Tekstów Drugich”. Najważniejsza różnica polega wcale nie na tym, że tym razem wśród wyróżnionych znalazł się Krzysztof Varga, którego pisarstwo pojawiało się jedynie w dalekim tle wystąpień polonistycznych z roku 1996. Różnicę widać przede wszystkim w tym, że pięć lat wcześniej między liderami (Tokarczuk, Stasiuk, Gretkowska) a resztą wcale nie było jakiegoś dramatycznie dużego dystansu. Tym razem podział na pierwszą i drugą ligę zarysował się dużo wyraźniej. Grono omawianych pisarzy zresztą przedstawia się dość skromne i także pod tym względem publikacja z roku 2001 zasadniczo odbiega od tej z 1996. Najwyraźniej młodzi poloniści nie mieli już żadnych wątpliwości, kto naprawdę okazał się ważny. Ranga Tokarczuk i innych nie podlega żadnej dyskusji, nie wymaga potwierdzenia – sprawa jest więcej niż oczywista.

Mylili by się jednak ten, kto by przyjął, że hierarchia literacka poświadczona przez tom *Światy nowej prozy* wyrasta i nawiązuje do rozstrzygnięć krytyki towarzyszącej. Teksty krytyczne są tutaj zdumiewająco rzadko przywoływane. Autorzy zapoznali się z tzw. literaturą przedmiotu, ale też widać doskonale, że nie jest im ona specjalnie do niczego potrzebna. Chętniej wspierają się wywiadami udzielonymi przez pisarzy. W przypisach wprawdzie przewija się nazwisko Przemysław Czaplińskiego, ale odwołania do niego częściej okazują się ornamentem niż wskazaniem na krytyka, którego tekst stanowiłby źródło inspiracji, punkt odniesienia lub obiekt polemiki.

Jeśli ktoś powie, że wypowiedzi krytyków po prostu szybko się starzeją i dezaktualizują, że ten, kto goni za literackimi nowinkami, musi się liczyć z takimi kosztami, nie będę protestował, co nie znaczy, bym sądził, że krytyka skazana jest na doraźność tudzież żywot jętki jednodniówki. Ale niech będzie, bo oczywiście nie ma przymusu i podopieczni Stanisława Jaworskiego wcale nie musieli przywiązywać szczególnej wagi do ustaleń recenzentów. Mogli, co zresztą uczynili, powoływać się raczej na Eliadego i Mieleńskiego, Ricoeura i Heideggera, Głowińskiego i Nycza czy teorie „światów możliwych”. Ale czy to znaczy, że prozę lat dziewięćdziesiątych przeczytali po swojemu? Niekoniecznie, bo przecież ich wypowiedzi z powodzeniem mieszczą się w ramach tendencji (mód) uchwytnych nie tylko w dzisiejszym literaturoznawstwie, bo również krytyce. Odnoszę wrażenie, że zamieszczone w książce interpretacje twórczości Tokarczuk, Stasiuka, Gretkowskiej jakoś nie odbijają od recenzenckich *locis communis*. Przy omawianiu tych samych pisarzy krytyka nieraz posiłkowała się Eliadem czy Ricoeurem, a i ślady lektury Nycza dałoby się wytropić. Może tylko z teoriami „światów możliwych” byłby pewien kłopot...

Chciałbym zostać dobrze zrozumiany. Daleki jestem od tego, by ubolewać, że krytycy literaccy – i to ci ściśle związani z uniwersytetem – są mało popularni,

że ich głos nie jest słyszalny nawet wśród kolegów czy studentów. Akademicka krytyka literacka otrzymała ostatecznie status pogranicznej i peryferyjnej subdyscypliny literaturoznawczej. Operuje ona wiedzą wysoce specjalistyczną, trudną do przyswojenia dla tych, którzy z własnej lektury znają jedynie drobną część spośród najświeższych dzieł. Skłonna jest – zwłaszcza ostatnio – widzieć literaturę również w takich kontekstach, jakie nasze literaturoznawstwo zwyczajowo lekceważy (np. uwarunkowania socjologiczne i ideologiczne, presja rynku). Dlatego koncepcje wysnuwane przez krytyków dla znakomitej większości badaczy oraz studentów pozostaną czymś obojętnym. Podkreślam, że nie widzę w tym nic złego. Akademicka krytyka literacka ma pozycję mniej więcej taką, jaką w ramach literaturoznawstwa zajmuje na przykład „parnickologia” czy „vincenzologia”. Obchodzi jedynie tych, którzy sami ją uprawiają. Prawda, że również autorzy spoza grona ściśle zainteresowanych przywołują np. kategorie typologiczne bądź niby-gatunkowe koncepty Czaplińskiego (przykładem choćby szkice zamieszczone w *Światach nowej prozy*). Ale przecież trudno w związku tym mówić, że nawiązuje się do właściwego dla krytyka pojmowania literatury, do jego metod heurystycznych, że rozwija się jego koncepty, odpowiada na wątpliwości i pytania, polemizuje z nim. I jest to pewna prawidłowość, która dotyczy najgłośniejszych nawet krytyków. Jerzy Jarzębski jako autor *Apetytu na Przemianę* będzie, owszem, ważnym punktem odniesienia, ale tylko dla samego Czaplińskiego. Jeśli ktokolwiek z kolei zmierzył się z poznańskim autorem, to najwyżej Dariusz Nowacki, bo jego *Zawód: czytelnik* w wielu miejscach kreśli odmienną wizję rzeczywistości prozatorskiej. I tak dalej mniej więcej w tym samym kręgu... ☺

Inna rzecz, że polemiki najczęściej miewają zawołowaną postać. Aby je zrekonstruować, trzeba często sporej orientacji i odczytania. Stąd wrażenie, jakby każdy mówił swoje bez oglądania się na kolegów, jakby naszemu życiu literackiemu brakowało dynamiki, a dyskusje i debaty bywały incydentalne oraz anemiczne. Przy innej okazji pozwoliłem sobie zauważyć, że na przykład Przemysław Czapliński i Dariusz Nowacki mogli się spotkać w tym samym numerze tego samego czasopisma, mogli rozbieżnie opisać sytuację w państwie literatury i... zupełnie nic z tego nie wynikało. A przecież zdarzyło się tak nie tylko w „Kresach” 1999, nr 1⁴. Podobnie było już parę lat wcześniej, kiedy to w pożegnalnym wydaniu „Nowego Nurtu” krytycy przedstawili swoje typy na pięć najciekawszych książek okresu 1990-1955⁵. Oto dokument całkowitej niezgody: nawet jedna pozycja nie powtórzyła się na obu listach. Czapliński wymieniał książki znane i wysoko ocenione (*My zdies’ emigranty* Gretkowskiej, *Mury Hebronu* Stasiuka, *Spis cudzołóżnic*

⁴ Zob. P. Czapliński: *Przerabianie nostalgii albo proza lat dziewięćdziesiątych w poszukiwaniu utraconej tożsamości*. „Kresy” 1999, nr 1; D. Nowacki: *Dwanaście groszy*. Tamże. Oba szkice – z wielkimi zmianami – zostały przedrukowane w autorskich książkach krytyków, odpowiednio – *Wzniosłych tęsknotach* i *Zawodzie: czytelnik*.

⁵ Zob. P. Czapliński: 5 x 5. „Nowy Nurt” 1996, nr 13; D. Nowacki: *Zapamiętane*. Tamże.

Pilcha, *Pannę Nikt* Tryzny, *Zapiski z nocnych dyżurów* Baczkaka). Nowacki wskazał cztery tytuły, które przeszły bez echa (*Terminal* Bieńczyka, *Szose warszawską* Giszczaka, *Narracje* Sęktasa, *Narogi i patrochy* Szapera)⁶, oraz, na osłode, *Sny i kamienie* Magdaleny Tulli. Nie ma powodu, aby przeceniać wypowiedzi udzielone w ramach ankiety, pozostają one jednak świadectwem fundamentalnych różnic między oboma – jednako cenionymi – krytykami. Rzecz w tym, że dla czytelników (także czytelników fachowych) o w e r ó ż n i c e p o z o s t a j ą b e z z n a c z e n i a⁷. Nowackiego się podziwia (choćby za styl)⁸, ale ufa się raczej Czaplińskiemu. Chociaż nie! Nie tyle ufa się Czaplińskiemu, ile raczej sam krytyk zdaje się wierzyć najbardziej rozpowszechnionym hierarchiom literackim, które – z racji rozpowszechnienia – uchodzą najczęściej za *vox populi*. Kto zatem, jeśli nie krytycy, byłby instancją ustalającą owe hierarchie?

Przypadek Przemysława Czaplińskiego wydaje mi się szczególnie pouczający. Ekspercką pozycję autor *Śladów przelotu* zdobył nie dzięki temu, iżby wypromował jakąś tendencję, zjawisko artystyczne lub bodaj tego autora czy tamtą książkę. Czapliński potrafił za to kapitalnie uprawomocnić tworzącą się hierarchię, podsunął atrakcyjne wyjaśnienie, dlaczego proza, którą mamy za ważną, naprawdę jest ważna. Ale przecież krytyk nie ustanowił tej wartości ani nie nadał tej rangi. On ją uzasadnił.

Wszystko to oczywiście nie byłoby możliwe bez wykonania znakomitej pracy analityczno-interpretacyjnej, bez wzorowego warsztatu, inteligencji, pozwalającej nie tylko w atrakcyjny sposób rozczytać omawiany tekst, ale również nadążać za wszelkimi fluktuacjami na literackiej giełdzie. Pamiętajmy wreszcie, że nasz autor potrafił wypracować rozpoznawalną strategię interpretacyjną oraz taki styl pisarski, który – co kapitalnie dostrzegł Jerzy Madejski⁹ – nie tylko służy opisowi, ale i dużo więcej, bo również współtworzy przedmiot opisu. Jeśli zatem odnajduję w postawie Czaplińskiego motyw oportunistyczny względem narzucanych

⁶ Przypominam, że bezpośrednio po publikacji *Terminal* nie miał dobrej prasy. Dobrze wspomiano tę książkę dopiero przy okazji omawiania *Tworek*. Jeśli chodzi z kolei o powieść Szapera-Bulandry, to oczywiście jest prawdą, że wsparł ją swoim autorytetem Jerzy Jarzębski. Nie pomogło.

⁷ Anemią debat i dyskusji można by tłumaczyć szczególnie, *para*-akademickim statusem współczesnej krytyki. Za sprawą kastowej solidarności recenzje z publikacji kolegów przybierałyby postać raczej sprawozdawczą niż polemiczną (tak sprawy wyglądają zazwyczaj w pismach literaturoznawczych). Ale to powód bynajmniej nie jedyny. Sytuacja, z którą mamy do czynienia, jest przede wszystkim pochodną społecznej degradacji literatury oraz rozchwiania jej definicji. Kryteriów nie tyle brakuje, ile raczej jest ich zbyt wiele. Świadomość tej mnogości oddziałuje paraliżująco, pozbawia prawa do polemiki z odmiennym ujęciem danego problemu. Skoro fundamentalne różnice poglądów na literaturę między cenionymi krytykami nie stymulują żadnego ruchu myśli, to wystarczy już tylko mały kroczek, aby dojść do wniosku, że posiadanie jakichkolwiek poglądów nie jest wcale konieczne, by uprawiać krytykę literacką.

⁸ A podziwiają go autorzy tak dalecy od siebie (nie tylko pokoleniowo), jak Marek Zaleski i Michał Witkowski. Zob. M. Zaleski: *Nasz człowiek na rynku*. „Gazeta-Książki” 2000, nr 3; M. Witkowski: *Bez zawodu*. „Kresy” 2000, nr 2-3.

⁹ Zob. J. Madejski: *Wzniosłe krytykowanie*. „Pogranicza” 2001, nr 3.

hierarchii oraz modelu literackiego, to jednocześnie twierdzą, że nie zaprzecza to rozlicznym zaletom jego pisarstwa. Ów oportunizm zresztą wcale nie musi być traktowany jako coś gorszącego, jako zdrada krytycznoliterackiego etosu. Podobna postawa zaznaczała się tak często, że należały raczej traktować ją jako cechę systemową (i to nie samej tylko krytyki literackiej).

Kiedy w roku 2001 ukazały się wreszcie *Wzniosłe tęsknoty*, tom będący podsumowaniem krytycznoliterackiego dorobku Czaplińskiego z poprzedniej dekady, ten i ów recenzent stwierdził z niejakim zaskoczeniem, że autor ocenił dość sceptycznie opisywaną w książce tendencję. Rzeczywiście, poznański krytyk wyraźnie zdystansował się od prozy nostalgicznej, wypunktował jej słabości, schematy, manieri. Tyle że owe cierpkie opinie często bywały interpolacjami. Jeśli porównać pierwodruki z odpowiednimi partiami książki, to okaże się, że poprawek dokonano podług czytelnej reguły: tonujemy pochwały, podkreślamy zastrzeżenia. Cytujemy, na początek pierwodruk: „książki te [chodzi o *Przez rzekę* Stasiuka oraz *Pierwszą miłość* Huellego] mają coś wspólnego: obie nakazują odłożyć do następnego razu apetyt na arcydzieło i obie wnoszą do najnowszej prozy polskiej zmienioną perspektywę w spojrzeniu na doświadczenie przemijania”¹⁰. Tymczasem we *Wzniosłych tęsknotach* odpowiedni fragment wygląda następująco: „łączy je [książki] zarówno to, że obie nakazują odłożyć do następnego razu apetyt na arcydzieło, jak i to, że obie stanowią przykłady nieudanych innowacji w przedstawianiu doświadczeń przemijania”¹¹. Tak oto „zmieniona perspektywa” okazała się ostatecznie „nieudaną innowacją”. To dużo więcej niż zwykła stylistyczna poprawka.

Inny przykład: prasowy pierwodruk recenzji z *Madame* Antoniego Libery rozpoczyna zdanie wyróżnione jako tzw. *lead* (tekst przewodni): „Oto do literatury polskiej wkracza debiutant-wirtuoz, kolejny – uniwersytecki mądrała, i kolejny erudyta, który co prawda lubi się popisywać swoją wiedzą, ale zarazem ma coś konkretnego i bardzo ważnego do powiedzenia”¹². W redakcji książkowej tego zdania po prostu nie ma. Zastąpił je wyodrębniony spacją i dużo obszerniejszy wstęp. I okazuje się, że tym razem autor, omawiany pisarz nie ma już do powiedzenia „czegoś konkretnego i bardzo ważnego”, ale po prostu „coś”¹³. Przykład o tyle ciekawy, że pierwotna wersja została poddana normom tekstu dziennikarskiego w prasie codziennej, który winien – między innymi z wykorzystaniem możliwości, jakie daje formuła tekstu przewodniego – przedstawiać wszelkie wydarzenia w sensacyjnej otoczce. Komentowana książka musi zatem okazać się ponadprzeciętna, zjawiskowa, jej wydanie musi co najmniej wstrząsnąć życiem literackim, inaczej nie byłaby materiałem na dziennikarską wiadomość.

¹⁰ P. Czapliński: *Przekraczanie nostalgii*. „Gazeta-Książki” 1997, nr 1.

¹¹ Tegoż: *Wzniosłe tęsknoty. Nostalgie w prozie lat dziewięćdziesiątych*. Kraków 2001, s. 221.

¹² Tegoż: *Madame i melancholik*. „Gazeta-Książki” 1998, nr 9.

¹³ Zob. tegoż: *Wzniosłe tęsknoty*, dz. cyt., s. 252.

Gdyby jednak powiedzieć, że zmiany redakcyjne były w tym wypadku bezpośrednią konsekwencją zmiany miejsca publikacji, obiegu komunikacyjnego, adresata, że zamieszczona pierwotnie w popularnym dzienniku recenzja, zmieniawszy się w rozdział książki krytycznoliterackiej, zmieniła również swoje przeznaczenie i funkcje i musiała się dostosować do owych zmian, to oczywiście powiemy prawdę, ale stracimy z pola widzenia pewną istotną kwestię. Otóż właśnie z uwagi na miejsce publikacji, obieg komunikacyjny, adresata itd. tekst w pierwotnej postaci oddziaływał dużo silniej. Jeśli wypowiedź Czaplińskiego mogła wpłynąć na los powieści Libery, to raczej wtedy, gdy ukazała się w masowym nakładzie w „Gazecie Wyborczej”, a nie wówczas, gdy pojawiła się w książce o wielokrotnie węższym adresie czytelniczym. Już sam fakt, że najbardziej wpływowy z dodatków literackich powitał *Madame* tak obszerną recenzją pióra liczącego się krytyka, był dostatecznie wymownym sygnałem. Czytelnicy zapamiętali raczej, że Czapliński wsparł powieść w recenzji w „Gazecie Wyborczej”, nie zaś, że ten sam autor do tej samej książki odniósł się dość sceptycznie w swojej rozprawie habilitacyjnej. A jeśli wśród tych czytelników byli również literaturoznawcy?

Zwróćmy uwagę, że krytyk poddał się regułom komunikacji masowej w innym punkcie niż ten, na który zazwyczaj wskazywano, mając na myśli wypowiedzi o szerokim adresie. W tym akurat wypadku wcale nie uproszczono wyводу, lecz przyjęto narzuconą przez miejsce publikacji perspektywę aksjologiczną. Tak oto krytyk zgadza się mówić jako funkcjonariusz medium, poprzez które zwraca się do publiczności.

Owszem, krytyk czy literaturoznawca mówią nie tylko we własnym imieniu, bo również reprezentują instytucje, z jakimi są związani (np. grupa, środowisko, pismo, pokolenie, instytut, uniwersytet, orientacja badawcza albo humanistyka polska). Trudno się jednak łudzić, że akademicką krytykę zawsze i bezboleśnie uda się pogodzić z normami współczesnego dziennikarstwa. A znalazłszy się w sytuacji wyboru, krytyk – bodaj na chwilę – wybiera obcą sobie rolę. Jak widać, nie zawsze koszulka bliższa ciału...

Dlaczego? Powodów jest wiele, zatrzymam się przy tym, który mam za fundamentalny. Jeśli syreni śpiew wysokonakładowej prasy istotnie rzuca na nas czar, to dlatego że jesteśmy pełni najgorszych podejrzeń co do społecznego znaczenia naszej pracy tudzież prestiżu tego, czym się zajmujemy – literatury. Zauważamy, że literatura rezonuje wtedy jedynie, gdy przydaje się do innych celów. A ponieważ jesteśmy przywiązani do idei literatury jako samoistnej wartości, to musimy się jej sprzeniewierzyć, oczywiście dla jej dobra. Konflikt przestaje być jednak dramatyczny, kiedy okazuje się, że literatura ważna w perspektywie społecznej (czytana, komentowana, podejmująca problematykę uznawaną za doniosłą, sprawdzona na rynku) jest zarazem zjawiskiem interesującym z literackiego punktu widzenia. A jest! Należy to tylko wykazać...

Tak, również krytyk nie rozpoznaje ani nie ustala żadnych wartości. Z mniejszą lub większą ochotą przystaje na narzuconą mu hierarchię. I pod tym względem ni-

czym nie różni się od literaturoznawcy. O tym, jaki pisarz jest ważny, jaka książka wartościowa, obaj, niezależnie od siebie, dowiadują się z tego samego źródła – giełdy, jaka funkcjonuje na przecięciu biznesu wydawniczego, wpływowych mediów, koniunktur ideologicznych oraz politycznych, obowiązujących snobizmów i kulturalnych mód. Wpływy owej giełdy wydają się przemożne, a jej werdykty – niepodważalne. Wszelako ma ona dość szczególny status. Jej siła nie wynika z żadnego autorytetu, lecz przeciwnie – z anonimowości natrętnych, zwielokrotnionych do nieskończoności, rezonujących bez końca powtórzeń. Werdykty tej instancji docierają do nas jako fama, dobiegająca zewsząd pogłoska o tym, że *Prawiek* Olgi Tokarczuk podoba się wszystkim, że należy czytać Pilcha, że prozatorski debiut Jerzego Sosnowskiego będzie wydarzeniem, a powieść Doroty Masłowskiej to objawienie. Wymieniłem autorów oraz książki, których nie wylansował żaden krytyk, czasopismo, środowisko. Wszyscy oni wkroczyli w życie literackie poprzedzeni anonsem swojej wybitności. Że eksperci, krytycy i literaturoznawcy dali wiarę temu anonsovi lub przynajmniej zachowali się tak, jakby dali wiarę? W końcu możliwe byłoby dużo gorsze rozwiązanie. Przecież Olga Tokarczuk naprawdę pisze lepiej od Katarzyny Grocholi, a Jerzy Pilch od Janusza L. Wiśniewskiego. Cieszymy się więc z tego, co jest. Póki jest.

Ubocznym rezultatem takiej sytuacji będzie to, że akademicy wiedzą, kto jest ważny, bez studiowania prasy literackiej, bez wertowania książek krytycznych. W rezultacie racja istnienia krytyki okazuje się jeszcze wątlejsza. Wycofała się ona rakiem z mediacji między autorem a szerszą publicznością, zarzuciła aspiracje do określania obowiązującego sposobu rozumienia literackości i – jak się okazuje – przestała pośredniczyć między życiem literackim a uniwersytetem. Rzeczywiście, pozostaje tylko albo upowszechnianie werdyktów giełdy, albo sympatyczna w sumie emerytura pod postacią subdyscypliny akademickiego literaturoznawstwa (uniwersyteckie zakłady krytyki literackiej nie tylko mają się zajmować jej dziejami, ale również parać nią samą).

Rozpocząłem od przypomnienia, że w ostatnich latach giełdowy kurs nowej literatury wyraźnie zniżkował. Nie znaczy to, że stracili wszyscy pisarze, których z nią kojarzono (choć większość istotnie straciła), ale na pewno zniżał jej prestiż jako zjawiska. A skoro tak, to nie dziwi, że przez literaturoznawców przestało ono być postrzegane jako wdzięczny i atrakcyjny przedmiot refleksji. O bohaterach minioniej dekady piszą przede wszystkim adepci polonistyki. I jest to sytuacja zrozumiała. Skupienie uwagi na nowej poezji czy prozie oznacza okopanie się na takim terenie, który póki co nie został zagospodarowany ani rozparcelowany. Łatwiej tu niż gdziekolwiek indziej wytargować swój własny kawałek przedmiotu badań.

Ale też owa łatwość wynika po prostu stąd, że literaturą lat dziewięćdziesiątych nie jest zainteresowany polonistyczny mandarynat. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego ani zaskakującego i jeśli zwracam uwagę na tę oczywistość, to tylko dlatego, że w roku 1996 mogło się wydawać, iż tym razem będzie inaczej. Jednak po sprawdzeniu okazało się, że nawet te głośne dokonania nowej poezji czy prozy

odbiegają od tradycyjnego wyobrażenia wartościowej literatury i przy zwyczajowych dla akademickiego literaturoznawstwa kryteriach wartościowania nie mogą otrzymać wysokich not. Skoro tak, nie ma powodu, by zawracać sobie nimi głowę, gdy żadne okoliczności do tego nie zmuszają. Niech o tym piszą młodzi, to ich sprawa...

I oto leży przede mną dwutomowy zbiór pokonferencyjnych wystąpień zatytułowany *Literatura polska 1990-2000*¹⁴. Wcale się nie upieram, że koniecznie należy go uznać za reprezentatywny, jeśli chodzi o stosunek literaturoznawców do twórczości powstałej w ostatnim czasie, niemniej warto się zastanowić, co wynika z samego choćby przejrzenia spisu treści. Otóż najważniejszym pisarzem minionej dekady okazał się Czesław Miłosz (cztery artykuły w całości mu poświęcone plus fragmenty kilku innych). Zatem Miłosz i... długo, długo nic. Wśród prozaików najchętniej komentowany autorem okazał się Włodzimierz Odojewski jako autor *Oksany*. Dekada młodych? Rewelacyjne debiuty '90? Dobrze sobie...

Co z tego wynika? Przede wszystkim to, że literaturoznawcy zajmujący się najnowszą poezją i prozą zasadniczo pozostali wierni temu rozumieniu pisarstwa, jego zadań, celów, funkcji, oraz tej hierarchii zjawisk, jaka ukształtowała się najpóźniej w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy to najważniejszymi pisarzami naszej współczesności okazali się Miłosz, Schulz, Herbert, a nawet Herling-Grudziński, wypierający Gombrowicza, Białoszewskiego czy Różewicza – szanowanych wprawdzie, lecz zwolnionych z funkcji pisarzy formacyjnych. Tak między innymi zaznaczył się na akademickim poletku znacznie szerszy proces związany z odchodzeniem od etosu i tradycji szeroko pojętej awangardy.

Prawda, że od tego czasu to i owo się zmieniło. Tadeusz Konwicki, zdecydowany faworyt dziewiętej dekady, jeszcze za życia trafił do literackiego czyścca. W zamian literaturoznawcy szczególną atencją obdarzyli Herlinga-Grudzińskiego i – właśnie – Odojewskiego. Ten ostatni awans mógłby się wydawać nieco zaskakujący, ale wśród aktywnych pisarzy starszego pokolenia po prostu nie było innego, lepszego kandydata, u którego już nieco przejrzała, zakonserwowana nowoczesność łączyłaby się ze... słuszością.

Faktem jest również, że w latach dziewięćdziesiątych łaskawie zrehabilitowaliśmy Tadeusza Różewicza. Ale nawet i to przesunięcie dokonało się wewnątrz systemu, w niczym nie zagrażając jego spoistości. Proszę zwrócić uwagę, to już prawie dwadzieścia lat, dwie generacje polonistów, a paradygmat ani drgnie. Żadnych czynników dynamizujących nie widać (mógł się nim okazać postmodernizm, aliści w zarodku zdusiłmy tę bestię). Powtórzę, dwadzieścia lat... Sytuacja równie niezwykła i... podejrzana, jak ściganie się z portalami internetowymi i prasą wysokonakładową w głoszeniu dobrej nowiny o kolejnym arcydebiucie. A może są to tylko różne aspekty tego samego zjawiska? Tak, chyba tak...

¹⁴ *Literatura polska 1990-2000*. Pod red. T. Cieślaka i K. Pietrych. Kraków 2002, t. 1-2.